Nr. 31. Lwów dnia 31. Sierpnia 1872. Rok I.

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie“* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Mowa JULIUSZA SIMONA.

(Dokończenie.)

Chcąc jednak pomnożyć godziny wykładu geografii, historyi i języków żyjących, znaleźliśmy się w obec bardzo ciężkiej trudności. Nie można było myśleć o uszczupleniu godzin czasu przeznaczonych na przygotowanie się ucznia do szkoły, i teraz już wcale nie wystarczających; nie można było również urywać czasu naukom ścisłym, ponieważ ograniczeni jesteśmy programami egzaminów wstępnych do rozlicznych szkół zawodowych. Pozostawały język grecki i łaciński, które uważają ludzie nowych dążności za dobry towar do zbycia, a w których my widzimy podstawy wszelkiej trwałej edukacyi.

Poświęcilibyśmy je z korzyścią bardziej pozorną, niż rzeczywistą. Mam zaś przekonanie, że to wzniosłe studyum ucierpiałoby na tem; byłbym nawet skłonny do reform w myśli przeciwnej, gdyż podług mego zdania środkiem wyuczenia się należycie języka, jest uczyć się go jak najwięcej. Gramatyka jest bardzo jałowem studyum, jeżeli nie jest niczem więcej nad wyliczanie reguł, które się wydają opartemi na praktyce codziennego użycia i dopuszczają nieskończoną liczbę wyjątków.

Skoro jednak poczniemy gramatykę jednego języka porównywać z gramatyką innego, spostrzegamy pośród nich analogie, które stają się tem bardziej uderzającemi, jeżeli miasto dwóch, władamy trzema lub więcej językami; dochodzimy wówczas do przekonania, że to już nie są analogie, ale tożsamość zasad, i że ludzkość ma tylko jedną gramatykę, jak tylko jedną ma logikę. Te same prawa, jakie władają ruchem myśli, kierują także narzędziami jej wyrażenia. Gramatyka porównawcza ma tę wyższość po nad specyalnemi, że przemawia do rozumu i opiera się nie na dowolnym zwyczaju, ale na węgłach natury ludzkiej. Jest ona pochodnią ku filozofii, a następnie ku naukom prawdziwie literackim, ułatwia zadanie pamięci, dając wytłumaczenie reguł i rozpętując ich węzły. Nie wątpię, że nowa ważność nadana językom żyjącym nie spowoduje rzeczywistych uszczupleń tak w nauce gramatyki, jak w sposobie uprawiania języków klasycznych.

Mam nadzieję, że uczyć się będziemy tych języków daleko raźniej, gdy je dokładniej poznamy i wnikniemy głębiej w ich piękność, a ta nowa ważność im nadana uwidoczni prawdę, którę przestarzała rutyna szkół naszych ukrywała dotąd nietyle przed nauczycielem, ile przed uczniem, że gramatyka, literatura i filozofia są trzema różnemi formami jednej nauki.

Prosiłem już profesorów języków klasycznych ze czcią należną ich wiedzy i doświadczeniu, aby się starali co najprędzej zestroić naukę przez siebie udzielaną w bieg harmonijny z uprawą języków żyjących i z filozofią, ażeby tem zachować klasycznemu studyum całą jego ważność, a jeżeli można, takową jeszcze pomnożyć. Najbardziej tu liczę na szkołę Normalną wyższą, ponieważ jest o wiele łatwiej zacząć dobrą metodą, aniżeli zwyciężać zakorzenione i drogie już przyzwyczajenia.

Tymczasem czyni filologia tak znaczne już postępy w gronie profesorów Uniwersytetu, że reforma dokona się sama przez się, bez potrzeby dawania jej bodźców; rozbierają tam już z ożywieniem dobrze wróżącem kwestyę metod, która dotąd zdawała się umieszczoną po nad wszelkim rozbiorem, w pogodnej dziedzinie pewników, badają systemy niemieckie, wprowadzają nowe:

Avia Pieridum peragro loca.

Z radością patrzę na ten ruch zwiastujący reformy dobrowolne, jedyne, które mają rękojmię trwałości i poświadczam z wdzięcznością, że rok bieżący upamiętnił się wydaniem doskonałych książek elementarnych, pełnych głębokiej wiedzy, napisanych z porywającą jasnością wykładu.

Byłoby godnem ubolewania, gdyby pod pozorem ulepszeń w innych gałęziach nauki, odejmowano siłę ważności studyom klasycznym. Wszystko, co im zagraża, napełnia mię trwogą. Prawdą jest, że pomiędzy młodzieżą, przez nas wykształconą, jest bardzo szczupła liczba, która z uprawy tych nauk uczyni kiedyś zawód życia. Ale czemże jest mędrzec zatopiony w dociekaniach, rękodzielnik poruszający wielką machinę interesów i rozkazujący armii robotników, który pragnie i może pozbawić się obcowania z największymi umysłami i najwspanialszemi dziełami świata? Czyliż Rafael, Michał Anioł, Tycyan, Rubens malowali swe nieśmiertelne kartony jedynie dla szczęścia malarzy? Czyliż potrzeba być muzykiem, aby się zachwycać Glukem i Beethovenem? Czyliż świat ideału, z tą rozkoszą, którę przynosi i tym zapałem, który wznieca, jest wyłącznie ojczyzną artystów?

Czyliż nie pisząc wierszów sami, nie czujemy się wzruszeni słowem Racina a wzmocnieni Corneillem? Czyż nie jest wreszcie prawdą, że jedna część pracy ludzkiej dąży do celu skończonego, praktycznego, druga zaś, daleko zacniejsza, daleko potężniejsza, daleko nieśmiertelniejsza, ma za przedmiot sam umysł ludzki, a za cel — wzmocnienie naszej wartości moralnej?

Siła nabyta w klasycznych studyach czyni umysł zdolniejszym do nauk specyalnych, a wcale nie małą stanowi to różnicę, jeżeli będąc wielkim geometrą, było się dobrym latynistą. Uniwersytet nie potrzebując szukać przykładów po za sobą, może poświadczyć wielkimi imionami prawdę mych twierdzeń: mężowie stanu, jak Guizot i Royer-Collard, filozofowie, jak Cousin, uczeni, jak Geoffroy-Saint-Hilaire, Cuvier, Ampére, Franciszek Arago, wszyscy umiłowali te nauki i oddawali się im z zapałem. Mówiłem wam na początku o podniesieniu się Francyi. Wiecie, komu je zawdzięczamy. Tak jest w istocie! tę ruchliwość, która zdumiewa młodszych, ten nieomylny zdrowy rozum, ten sąd przenikliwy, tę duszę zarazem silną i łagodną, dały temu mężowi tylko nauki klasyczne.

Nie zapominajmy więc, gdy mówimy o Uniwersytecie, że studyum arcydzieł piśmiennictwa służy zarówno wychowaniu, jak wiedzy. Czytać arcydzieło, wzwyczajać się do jego zrozumienia i ukochać je, to znaczy wziąć dobrą lekcyę moralności. Wszystko, co podnosi umysł, kształci serce. Te to właśnie nauki wytwarzają w nas dwie siły, najbardziej ludzkie: l o g i k ę i m i ł o ś ć i d e a ł u.

W czasie swego, nie powiem wielkiego stulecia — bo nie jestem do tego stopnia klasykiem i nie mieszczę Montaigne'a ani Voltaire'a na drugim planie — ale w czasie trzech wielkich stuleci, jakie Francya przeżyła, podawała ona w swych szkołach wyborowi narodu, wiedzę klasyczną, wiedzę wszechstronną; starała się w pierwszych latach nauki wychowywać i wzmacniać dusze; kazała żyć swoim dzieciom wespół z pokoleniami Peryklesów i Augustów, bogaciła je czystemi formami i szlachetnemi myślami Grecyi; sprawiła, że język Cicerona i Wirgila był im prawie rodzimym.

Naśladujmy te wzory, powróćmy do tych tradycyi, aby się Francya nie wyradzała. Szkoła praw i medycyny, szkoła politechniczna kształcą naszą młodzież na prawników, lekarzy i inżynierów; my jednak, którzy wychodzimy pierwsi na jej spotkanie, powinniśmy z niej robić przedewszystkiem: l u d z i. A któż nam w tem pomoże, jeżeli nie Homer i Platon, nie Cicero i Horacy, ci wielcy geniusze, będący wiecznymi przedstawicielami i wiecznymi przewodnikami ludzkości?

Niech więc Uniwersytet zostanie sobą samym; niech się nie daje uwodzić programami szkół specyalnych i niech uważa za swój pierwszy obowiązek kształcić ludzi do złożenia egzaminów; niech uczy dalej łaciny i greki, nie troszcząc się o krótkowidzącą krytykę; niech filozofię umieszcza na właściwym planie, to jest na pierwszym; niech się stara usilnie rozszerzać dobre skłonności umysłu, udoskonalone metody, zapał dla szlachetnych idei; niech wpaja odrazę do wszystkiego, co jest lekkomyślnem, pospolitem, powierzchownem, aby za jego staraniem dzieci nasze żyły podczas swych lat najpiękniejszych w ciągłem zetknięciu z największymi umysłami i największemi dziełami. Jednem słowem niech będzie szlachetną szkołą, w której się kształcą l u d z i e i o b y w a t e l e!

Oto, czego potrzeba Francyi w tej strasznej chwili doświadczeń; dlaczego pragnę, aby Uniwersytet został tem, czem jest i czego oczekuję odeń z ufnością, na przyszłość.

Br. Z.

MIEDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

P O W I E Ś Ć

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

V.

Parę dni po bytności Ewy w dworku wdowy, Adam był w dziwnem usposobieniu. W cichej izdebce, gdzie miał swoją pracownię, zdawało mu się za ciasno, za ubogo; radby był gdzieś wyjechał, chciał coś wielkiego i głośnego zrobić — a równocześnie brakło mu roboty do pracy; zaczęte wydawały mu się tak małe, tak liche w porównaniu do tych śmiałych marzeń, które mu chodziły po głowie. Parę razy zabierał się do owego romansu na stawie, o którego kończeniu Stasia mu przypominała; ale mu to nie szło jakoś. Porobił trochę jednego dnia koło twarzy kobiety całującej się w łódce i dziwna rzecz, choć twarzyczka w całości obrazu dość małą być musiała, jednak w drobnych jej rysach było wiele podobieństwa do Ewy. Adama to podobieństwo rozdrażniło — zamazał twarz i obraz postawił na ziemi pod ścianą. Potem zabrał się do drugiego. Był to właśnie ów: „między niebem a ziemią." Zaczął go od zakreślenia konturów owej ziemskiej piękności i podmalowania ich; ale wnet urwał tę robotę, wstał i poszedł do Stasi.

— Czy masz czas teraz? — zapytał.

— Dlaczego?

Była właśnie zajęta robótką, którę teraz wraz z rączkami położyła na kolanie i patrzała na Adama.

— Chciałem cię prosić, czybyś nie mogła pozować mi do obrazu, do tego, w którym masz być niebem.

— A ów na stawie nie kończysz?

— Potrzeba mi robić z natury drzewa, staw, odłożę więc to na później.

— Więc chodźmy — rzekła z anielską słodyczą i złożywszy robótkę wstała i poszła z nim do jego pracowni.

— Czy ta sukienka będzie dobra? — spytała siadając.

— Bardzo dobra. Oto tu książka, oprzej się o nią jedną ręką, drugą podeprzyj główkę — tak. A teraz zapatrz się w książkę, jakby cię cały świat nic nie obchodził.

— Ani ty?... to jest chciałam powiedzieć ani ten, z którym mam oglądać tę książkę?

Zarumieniła się silnie przy tej poprawce.

— Będziesz trzymała jego rękę... to będzie was łączyć.

— Smutna to rola przytrzymywać aż ręką.

— Nietylko... Ona go trzyma anielską dobrocią, czystą duszą, ujmującą słodyczą... to wszystko mu się maluje w twarzy.

— Ach, ja tego nie potrafię — rzekła zakłopotana Stasia.

— Potrafisz, potrafisz, bądź tylko sobą. Teraz dobrze. Tak. No! zaczynam... moje n i e b o.

Ostatnie słowo powiedział z taką czułością, że na Stasi twarz znów wyszedł rumieniec. Cudownie wyglądała teraz z oczami spuszczonemi na książkę, z tym silnym rumieńcem, na który padały cienie jej długich rzęs. Adam zachwycał się nią w tej chwili jako artysta i szybko przenosił na płótno te wdzięki. W miarę, im bardziej wpatrywał się w Stasię, tem bardziej obraz Ewy, który od dni parę go opętał prawie, bladł w wyobraźni jego i tracił na uroku. Wieczorem tego dnia rozmyślał o niej już na zimno. Przypominając sobie wrażenie, jakie na niego robiła Ewa, zauważył, że wrażenie to jest w istocie silne, ale krótkie. Widząc ją, doświadczał jakiegoś uczucia rozkosznego, ale zarazem niespokojnego, mętnego; uczucie to porywało go, zdawało mu się wtedy, że pędzi na jakimś dzikim koniu, który go ponosi, pęd powietrza tamował mu oddech, czuł gwałtowne bicie pulsów, rozkosz bliską omdlenia, a zarazem przeszywały go od czasu do czasu jak rozpalone druty niespokojne przeczucia przepaści, upadku, któremi mogła skończyć się ta jego szalona jazda; a nie miał siły wstrzymać się — leciał na oślep.

W takim stanie znajdowała się jego dusza w bliskości Ewy, skoro jej kokietliwe, ponętne oczy drażniły mu nerwy, powabne wdzięki chwytały wzrok jego. Ale gdy nie miał jej przed oczyma—po paru dniach to wrażenie słabło, stygło, myśli jego stawały się przejrzystsze, swobodniejsze, głębsze: czuł, że zależy od siebie, że ma swoją wolę. Czasami jeszcze, gdy ktoś wymówił jej imię, doznawał chwilowego wstrząśnienia, jakby w nim ocknęło się pragnienie jakie, chciałby w tej chwili zobaczyć ją, być przy niej, dotknąć jej ręki. Ale to mijało, jak działanie prądu elektrycznego, gdy od niego oderwiemy ręce. Potem i wspomnienie jej przechodziło bez wrażenia. Wszystkie te przemiany odbyły się w przeciągu kilku dni. Czas ten był bardzo krótki, rachowany z zegarkiem w ręku; ale liczony niespokojnemi uderzeniami pulsu, walką myśli i uczuć wyda ogromną cyfrę chwil, z których każda kosztowała wiele i trudną była do przebycia. Zdziwił się Adam, gdy raz w rozmowie ze Stasią i z matką zgadało się, że jeszcze tygodnia nie ma, jak Ewa była u nich. Jemu się zdawało, że Bóg wie, jak dawno to było, tak dużą przestrzeń przebyła myśl jego przez ten czas krótki. Obraz Ewy był od niego tak oddalony, że nie robił żadnego na nim wrażenia. I kontent był z tego stanu spokojnego, w jakim się teraz znajdował — i chciał, aby tak trwało najdłużej.

Dlatego też nie na rękę mu było skoro Stasia przypomniała mu, że mają nazajutrz jechać do majora. Adam nie miał całkiem do tego ochoty i naprzód zaczął paniom odradzać ten wyjazd, a gdy widział, że ich do tego namówić nie może, postanowił sam nie jechać. Uczucie, które go zatrzymywało było podobne do tego, które w zadymkę i zawieruchę trzyma nas przy ciepłym kominku. Było mu tu dobrze i wygodnie.

Ale Stasia nie zgodziła się na to i tak długo prosiła Adama, tak długo tłumaczyła mu, jakby to było niegrzecznie z jego strony nie pojechać na tak serdeczne zaprosiny Ewy i jej ojca, że Adaś, nie chcąc się okazać dziwacznym i śmiesznym w jej oczach, zdecydował się pojechać.

— Tylko dla ciebie to robię — rzekł ulegając jej prośbom.

— Stasia słowa te zapisała sobie w pamięci, tak się jej podobały.

Na drugi dzień przed południem zajechał kocz majora i mieszkańcy cichego dworku z przedmieścia wyjechali niezwłocznie. Ciekawi sąsiedzi obserwując ten wyjazd przez okno robili nad nim różne uwagi, a mianowicie, że major nie naprożno bywał w domu wdowy, że zdaje się rzecz cała już na dobrej drodze, skoro wdowa jedzie już na oględziny domu majora, a i weseliska niezadługo można się spodziewać; a kto wie czy nie dwóch! Kiedy takie uwagi robiono na przedmieściu, powóz majora był już daleko za miastem na gościńcu, który się ciągnął kręto wśród łąk zielonych zakończonych kępami wikliny i olszyn. Dzień był prześliczny, pogodny a nie gorący, w powietrzu była świeżość przepełniona zapachem siana, co w kopach stało na łące.

Stasia była nadzwyczaj wesoła i zadowolona. Cieszyła ją jazda, cieszył piękny dzień a nadewszystko cieszyło ją spojrzenie Adama zwrócone na nią podczas drogi. Zdawał się patrzeć na nią tak jakoś dobrze i poczciwie, że jej z radości serduszko tańcowało w piersiach.

Major oczekiwał gości na ganku i tubalnym głosem swoim witał ich zdaleka, a ledwie wysiadły panie z powozu obcałował rączki matki Stasi tak ogniście i z taką serdecznością, że się aż rozlegało po podwórzu. Za chwilę wybiegła Ewa. Miała na sobie płomienisto-różową sukienkę nakrytą tuniką białą, przeźroczystą; sukienka wycięta w trójkącik odsłaniała szyjkę na której był znurek pereł. Z tych samych perełek były kolczyki. Szerokie rękawki pozwalały dojrzeć w głąb i podziwiać jej rączki. We włosach miała różę. Zachwycającą, powabną była w tym stroju. Różowa sukienka jak ciałko wydawała się przez białe muśliny i drażniła tem złudnem podobieństwem.

Adam objął to wszystko jednym rzutem oka, choć zdawał się unikać spotkania się z jej wzrokiem. Chciał trzymać się grzecznie, ale chłodno i obojętnie. Nie było to tak trudno, gdyż Ewa zajęta obowiązkami gospodyni mało zwracała na niego uwagi i najwięcej zajmowała się Stasią i jej matką. Zaprowadziła je do swego pokoju i tam zatrzymała czas dłuższy.

Dla Adama, który był przyzwyczajony do uprzejmej i kokieteryjnej grzeczności z jej strony, było to niespodzianką, która go nie pomału zdziwiła. Przygotowany tryb postępowania z nią okazał się zbytecznym i Adam uczuł całą śmieszność swoich postawień. Zawstydził się zarozumiałości swojej — i dziwna rzecz, on, który przyjechał tu z zamiarem unikania Ewy, niekontent był teraz z jej nagłego zniknięcia i czekanie na wyjście pań niecierpliwiło go trochę. Rozmowa z majorem nie wiele mogła przyczynić się do naprawienia mu humoru. Słuchał go, jak to mówią, jednem uchem i myślał o czem innem.

Wtem ujrzał wjeżdżającego we wrota Zygmunta. Zygmunt wracał z miasta, gdzie obok swoich interesów załatwił także kilka sprawunków Ewy. To też ledwie zsiadł z konia i przywitał się z Adamem, Ewa zawołała go przez okno do siebie. Adama i to gniewało. Nie znając powodów, dla których Ewie tak pilno było zobaczyć się z Zygmuntem, widział w tem pewną preferencyę jego nad siebie. Popsuty poprzednio uprzejmością Ewy, miał pewne pretensye, by się więcej niż innymi zajmowała.

Na szczęście od strony wsi dały się słyszeć śpiewy i okrzyki i niebawem ukazała się w bramie gromada z muzyką i dwoma dziewczynami na przedzie, które na głowach niosły ogromne wieńce ze zboża ubrane w kwiaty i wstążki. To wyciągnęło panie z pokoju. Stasia pierwsza wybiegła jako najwięcej ciekawa tej uroczystości. Ostatnia wyszła Ewa i stanęła niedaleko Adama.

*

— A pan, czy także pierwszy raz widzisz dożynek?

— O nie, ale nie widziałem go już bardzo dawno. Po długiej niebytności w kraju widok ten nadzwyczaj miłe robi wrażenie.

Na tem urwała się rozmowa.

Po odśpiewaniu kilku pieśni jedna z żniwiarek weszła z wieńcem na ganek i pokłoniwszy się majorowi życzyła mu wszystkich pomyślności i szczęścia a potem zbliżywszy się do Ewy dodała:

— A panience tego szwarnego pana za męża.

Mówiąc to pokazała oczami na Adama i objęła go za nogi. Adam zmięszał się i zarumienił na to niespodziewane życzenie a major śmiał się do rozpuku z pomyłki naiwnej żniwiarki.

— Otóż macie swatkę — rzekł zwracając się do młodych. — Ale coś mu nie bardzo na rękę ta propozycya. Patrz no Ewuniu, jaką minę zrobił. To niebardzo pochlebne dla ciebie. A i panna Stanisława upiekła raczka. No, no, nie bójcie się, żniwiarka nie ksiądz, będzie można wszystko zmienić bez dyspenzy. No, a teraz dzieci — rzekł zwracając się do gromady — czem chata bogata tem rada, jedźcie, pijcie i bawcie się.

To mówiąc wskazał na stoły zastawione pod kasztanami i biorąc czarkę z rąk klucznicy wypił z niej w ręce wójta. Czarka krążyła w koło. Muzyka zaczęła grać a rozochoceni wieśniacy poczęli pobrzękiwać podkówkami i pokazywali wyraźną ochotę do tańca.

— I czemuż nie tańczycie? — spytał major.

— Bo to proszę wielmożnego — rzekł najśmielszy parobczak obracając w rękach krakuskę — taki zwyczaj, że dziedzicowi pierwszeństwo się patrzy.

— Zgoda — zawołał major — dajcie no tu dziewuchę, stary wam pokaże, co jeszcze umie. Magda, czy jak ci tam, chodź!

Dziewczyna poczęła się wstydać, odwracać i gryzła fartuszek w zębach, koleżanki wypychały ją naprzód i prawie gwałtem potrąciły w objęcia majora.

— No, panowie młodzi za mną — rzekł major wesoło do stojących na ganku — nie dajcie się staremu zawstydzić.

Równocześnie dwóch parobczaków stanęło przed Ewunią i Stasią i skłoniło im się do nóg prosząc w taniec. Odmówić nie wypadało i całe towarzystwo z ganku, wyjąwszy matki Stasi, przeniosło się między tańczących.

Po małej chwili pary się zmieniły, Zygmunt odebrał Stasię z rąk parobczaka i puścił się z nią w taniec, a Ewa dostała się Adamowi.

(C. d. n.)

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

Oboje dzieci nie naszego wieku,
Pamiętasz nieraz jakeśmy tonęli
Nad bohaterską, średniowieczną księgą,

Porwani owa młodości potęgą,
Która ci ludzie zapomniani tchnęli,
Co duch półboży budziła w człowieku;

Pamiętasz obłęd Orlanda straszliwy,
Róg Roncewalski grzmiący w naszem uchu,
Stół Artusowy w podkowę zagięty,

Jak w raju, zgodę człeka ze zwierzęty,
W otchłaniach, w niebie i na ziemi dziwy,
Moc w biodrach ziemi i w ludzkości duchu;

Olbrzymie zbroje na olbrzymie barki,
Dziecięce serca pod pancerza stalą,
Majestat siły nawet w samej zbrodni.

Motyla skrzydłem czas przebiega szparki,
Poezya z wiarą nad światem się palą
Niby dwa słońca ciepło i łagodnie,

Po drogach pełnych przygód niesłychanych
Trubadur z pieśnią spieszy się miłosną,
Gościnność czeka na ubogich progu,

Boży cud sobie nie szuka wybranych,
Ze wzgórzów świętych dumnie w nieba rosną
Modlitwy z głazu, poświęcone Bogu.

Czy czujesz lasów tajemną pomrokę?
Czy przez oprawne w ołowie okienko
Spostrzegasz profil ascetyczny mnicha?

W gotyckim tumie, widzisz, jak noc cicha,
Wisząc w zachwycie pod nawą wysoką,
Drży po nad lampki iskierką maleńką?

Ciszej, nie mąćmy snu nieprzespanego
Tym wiekom ległym w trumnie marmurowej,
Nad których życiem drży wielkie: Dlaczego?!

Ten Sfinx i dla nas niemy i surowy —
Niech spoczywają w swej ciszy grobowej,
Nad które nie ma nic więcej pewnego.

Opuśćmy groby. Jeżeliś ciekawa
Ich mowy: nieraz przypadałem wiosną
Na nie mych piersi gorącemi tętny,
Widziałem jak tam kornie leży Sława,
I nieraz powieść szeptał mi miłosną
Bokacyusz alko Aretin namiętny;
Powieści owe choć się w grobach lęgą,
Szczebiocą z ptasiej swobody wyrazem
Nad sarkofagiem i głazów zatoką.

Żądasz odemnie jednej z nich? Bóg z tobą!
Powiem ci, w pamięć chwil spędzonych razem
Nad bohaterską, średniowieczną księgą.

I.

Niegdyś w Bononii żył młodzian stateczny
Z dobrego rodu: Allan Amirale,
Los figlarz nie był dlań przychylny wcale,
Dał mu na plecach dodatek niegrzeczny,
Ztąd też młodzieniec we wzgardzie był wiecznej
U ludzi. Jednak rósł przez to w zapale
Do świetnych nauk, pod przewodem mistrza,
Sławnego świecką mądrością i boską.
I dusza jego, w mieście najognistsza,
Nigdy miłosną nie zmącona troską,
Brała zadatki rozkoszy najszczerszej
Z melancholijnych Owidiusza wierszy.
Fortuna skromny dała mu dostatek,
Z dostatku spokój płynął i swoboda.
Poił go każdy cud boży i kwiatek,
Obszerność niebios i ziemi uroda;
Z księgami swemi w izdebce zamknięty
Milczącą twarzą odganiał natręty
I sam na niebo patrząc się błękitne,
Słuchał, jak co dzień do serca pukały
Postacie dawne, spokojne i szczytne,
Wizye o twarzy marmurowej, białej,
Słuchał, w podwórcu jak pluszcze cysterna,

Słuchał — i cisza w nim była niezmierna.
Wieczorem, kiedy tłum napełniał place,
Gdy lampki świetne błysły przed Madonną,
Gardząc tą ludzką krzątaniną płonną,
Głębiej zapadał w ukochaną pracę:
I po nad ziemską unosił się wrzawę,
Jak pacierz, Tassa szeptając oktawę.
Niekiedy zmrokiem zaszedł doń mistrz stary
U drzwi zamkniętych znane dając hasło,
I wraz z nim tonął źrenicą wygasłą
W greckiego świata uroki i czary,
A zresztą na myśl nie przyszło nikomu,
Ścieżką zarosłą iść do tego domu.

Nie próżno młodzian tak stroni od ludzi,
Nie próżno chowa się w samotność hardą.
Gdy wyjdzie, widok jego śmiechy budzi,
Gawiedź uliczna mierzy go ze wzgardą,
Albo w około niego wnet się skupi
Tłum miejskich dzieci okrutny i głupi,
Szyderskie słychać wołania i śmiechy
I uszy jego krzyk razi skrzydlaty:
— „O święta Maryo! garbaty! garbaty!
Patrzcie! ojcowskie ma na plecach grzechy!“

Toż w pięknej duszy młodzieńca osiada
Hardość ponura, samotna i dzika;
Wraca, w objęcia swoich mędrców pada,
Jak muszla ranna, z bólem się zamyka.
Lecz uśmiech słodki ma na licu bladem;
Boleść w nim perłą staje się, nie jadem.

Jednak wciąż głębszym dzieli się rozbratem
Z młodością, z życiem, z weselem i światem.
I chyba tylko w noc ciemną i głuchą
Wychyli głowę na ulice miasta,
Dalekim gwarom ludzkim daje ucho,
I nieświadomie płacze, jak niewiasta.
A gdy gitary brzękną pod balkonem,
W zakątku ulic szpady gdzieś zabrzękną,
Cofa się z tęsknie poruszonem łonem,
Gniew jakiś mąci duszę jego piękną,
W głębinach domu bieży prosić ciszy:
Tam są organy — szuka ich klawiszy.

I wówczas słyszą sąsiedzi zdaleka
Śpiew eteryczny, zachwycony, wzniosły,
Czysty jak gdyby nie z piersi człowieka,
Lekki jak gdyby go dwa skrzydła niosły,
Pełen namiętnych tchnień, przesiąkły łzami
Jak woń jaśminu pod rosy perłami.
Słyszący śpiew ten — ktoś z nocnych przechodni
Staje, — o bliskim domu nie pamięta
Pan wśród orszaku swojego pochodni,
Myśli, że gra tak Cecylia święta
A Rafał-anioł, stojąc u klawiszy,
Po nad nią zgięty śpiewem towarzyszy.

(C. d. n.)

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno-krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

List z 27 Stycznia 1793 do tegoż opiewa (str. 1 T. II): „Przez odjeżdżającego p. Gaudzickiego piszę do WPana. Kiedy już wiadoma jest deklaracya króla pruskiego, zapewne teraz każdy postrzega zamiary naszych sąsiadów. Nie wiem, co na to powiedzą szefowie konfederacyi Targowickiej, którzy w swoich uniwersałach bezprzestannie oskarżali sejm przeszły raz o wprowadzony despotyzm, drugi raz o demokracyę. Ich uniwersały, ich akces, które królowi podpisać dali, służy teraz za pozór dla króla pruskiego. Elektor saski oszukany zawiódł Polskę, a teraz bardzo jasno widać, do czego konwencya w Pawii zmierzała, jakie propozycye do medytacyi podawała Dania, jaki ostatni jest alians króla pruskiego z Moskwą, który zapadł 8 Sierpnia w roku zeszłym, a o którym dawniej doniosłem. Zaczem król pruski nie odstąpiłby był konstytucyi polskiej, aniby się wdał w wojnę francuzką, gdyby go Moskwa nie upewniła o nowym Polski podziale. Co się więc tyczy naszych sąsiadów, ułożyli oni sobie nagrodzić wszystkie straty z wojny francuzkiej podziałem Polski. Widać między nimi, że dwóch jednego chcą oszukać. Lecz to podobno będzie dóm austryacki rządzony dzisiaj przez młodego monarchę, który wcale nie umie się znaleźć w teraźniejszych okolicznościach. Przedsięwzięcie podziału Polski jest zbyt śmiałe w tym czasie, lecz że go między sobą ułożyli, już prawie o tem wątpić nie można. Ostrzegałem zawczasu, pisałem, że Targowiccy będą zwiedzeni, ale cóż można było czynić z tymi ludźmi? Jeden krok zapamiętały ciągnie za sobą milionowe błędy i szkody. Jednak bądź WPan dobrej myśli. Polska znajduje się w zbyt smutnem położeniu, w jakiem była r. 1773. Ale ma ludzi, którzy o sobie zapomniawszy, o niej tylko myślą. Ufam w Bogu, że nas te wieloryby nie zjedzą i chociaż mają dość śmiałości pochłonąć jakąś część Polski, będą ją musieli wyrzucić jak niegdyś Tomasza. Polska musi przejść przez wielkie zamieszanie. Naprożno bałamucą naród bajkami, które Łuskina o Francuzach pisze. Przyszła wiosna pokaże, jak wielki oni mieć będą postępek w Niemczech i na morzu, pokaże, że nie oni tylko sami interesować się będą o całości Polski. Znasz mię WPan, że lekko nie lubię twierdzić. Zachowaj to wszystko dla siebie......“ „Wiem do kogo piszę, a zatem nie obawiam się, żeby to miało WPana zmartwić, lub rzecz doniesioną na niebezpieczeństwo wystawić.“

W liście pisanym do ks. Szczepana Hołowczyca d. 2 Lutego 1793 powiada (str. 5 T. II): „Plan podziału jej (Polski) był mi jeszcze wiadomy w Sierpniu i doniosłem o nim tym, którzyby mogli miarkować zapędy Targowickich robót..“ „Koniec końcem, że ci, co mało uważali moje doniesienie w Sierpniu, już teraz wszystko jasno widzą. Gdyby nie projekt podziału Polski, któremu ja asystować nie chcę, możebym już dawno powrócił do kraju, mimo tyle przechwałek i groźb. Znasz mię WPan dobrze, że ja się z takiemi rzeczami obejść umiem i wcale ich się nie lękam. Dobre sumienie człowieka czyni go dość śmiałym, a gruntowna uwaga nad losami rzeczy ludzkich wyciąga od rozsądnego, aby się zbyt nie pieścił sam sobą, aby siebie nigdy nie uważał za punkt najbardziej interesujący. Lecz jeżeli trzeba ojczyzną dysponować na śmierć, macie do tego zdatniejszych odemnie duchownych.“

W liście pisanym do Strassera 9 Lutego 1793, z którego już podałem wyjątki, pisze (str. 15 T. II): „Odpowiedź p. Buchholtzowi dana, jest prawdziwie testamentem politycznym, przez który oni legują wszystko Moskwie i królowi pruskiemu. Sami utworzyli w swej imaginacyi demokracyę w Polsce, sami rzucili kalumnię na obywateli chcących ratować naród własną siłą, przez co dali powód królowi pruskiemu, którego mu teraz zniweczyć nie potrafią. Komu się śniło w Polsce o klubach jakobińskich? Nie pisałżem dawno, że te liche uniesienia, które się dały słyszeć w Warszawie i po prowincyach, były natchnione od samej Moskwy? Teraz się pokazuje jasno, że Moskwa sama dawała zaczepki i wzniecała burzliwość. Targowickim kazano wydawać uniwersały, ustanowić komisyę inkwizycyjną, ażeby z tego wyciągnąć argument przeciwko Polakom i omamić publiczność europejską choć na moment pozorem zupełnie różnym od chęci rozszarpania kraju. Właśnie artykuł gazety Lejdejskiej usprawiedliwia króla pruskiego w ten sposób, a my z Drezna, Wiednia i Holandyi niezawodne mamy upewnienia, że podział Polski jest ułożony.....“ „Proszę sie nie turbować o los Polski. Nie zostanie ona bez ratunku i bez sposobu. Niech robią, co chcą, nie dokażą zgubić jej, a choćby Targowiczanie przyspieszyli podział, robota ich będzie nie trwała, a lepiej żeby scenę swoją skończyli. I sąsiedzi nasi znajdą się wkrótce w takiem zaburzeniu, że się sami u siebie ratować muszą. Dość na tem. Proszę być dobrego humoru. Cokolwiek Mirosławski mówił, to jest rzecz nie płocha i fundamentalna......“ „Nie wiem, dlaczego portrety moje w modę wchodzą; tem lepiej dla malarza, który ma na nich odbyt.“

19 Lutego 1793 pisze do Strassera (str. 31 T. II): „Żale p. Szczęsnego cóż mogą probować, jeżeli nie oczywistą złość jego przeciw ojczyźnie? Któż kiedy na obronę wolności bezpiecznie będzie używał mocy? Gdyby oni nie sprzeciwiali się robotom sejmu, gdyby na obronę kraju poświęcili tak wielkie koszta, jakich użyli na jego zgubę, gdyby nie bałamucili szlachty, gdyby się byli razem trzymali, pewnie potem pospolite ruszenie przy kilkudziesięciu tysiącach wojska regularnego byłoby zdolne obronić Polskę. Jeżeli im się konstytucya nie podobała, nie mogliż jej poprawić na następujących sejmach? Wszak ona sama dla siebie poprawę warowała, zaczem próżne to są teraz fanfaronady! Mówiłem od początku, że sama szlachta nie ocali tego kraju; teraz zawiedziona postrzeże, lecz po niewczasie, że ten był najlepszym przyjacielem szlachty, kto jej chciał przydać wolnych rąk, kto wskazywał środki w samym narodzie. Dałby Bóg, aby rozumowania moje były próżne! Czy p. Sievar ma zapieczętowane rozkazy, czyli je sekretem do czasu zapieczętował, nie wyczyta zapewne w nich Polska nic pomyślnego dla siebie. Teraz się Moskwa cofa z Krakowskiego i Sandomierskiego. Dlaczego nie weszła do trzech Wielkopolskich województw? Są to znaki śmiertelne w polityce i zapewne konsilium tych politycznych doktorów, jakie miało być u p. Ant. Raczyńskiego, nic nie pomoże. Jedna tylko Moskwa, nie zatrudniona dziś wojną francuzką, mogłaby się oprzeć królowi pruskiemu, ale Wiedeń na wszystko pozwolić musi, i p. du Cachet nic dobrego nie poradzi......“ „Pytasz się WPan, gdzie jest Kościuszko. Musiał więc źle się wytłómaczyć Mirosławski, któremu ja kazałem powiedzieć, gdzie i z czem pojechał; posłałem z nim Eustachego, mego synowca. Jest teraz w Paryżu, będzie w Anglii i w Turcyi, powróci na końcu Marca lub w Kwietniu. Ten poczciwy człowiek bardzo jest swej ojczyźnie pożyteczny. Proszę się reszty domyśleć, bo moje wnioski nie są płoche, choć ich teraz trudno zrozumieć.“

Pomijam list z 23 Lutego 1793 pisany do Stan. Małachowskiego w odpowiedź na list tegoż z 8 Lutego, który trzebaby w całości przytoczyć. Sądzę bowiem, że zestawione powyżej wyjątki zbijają aż nadto złośliwe twierdzenie Siemieńskiego, jakoby listy Kołłątaja innym tchnęły duchem, dokąd mniemał, że znajdzie przystęp do konfederacyi i tem ocali swój urząd i dobra, i że dopiero po sancitach z 14 Maja i 16 Czerwca 1793 zmienił się ton tychże. Zestawione wyjątki przekonują najmocniej, że wychodzcy nasi przy wyjeździe z kraju związali się uroczystem słowem, by unikać wszystkiego, coby mogło naród podzielić na dwa obozy; że nie przeszkadzali Targowiczanom, dokąd była nadzieja ocalenia przynajmniej całości kraju; że i z zagranicy chcieli przyznaniem tronu wnukowi carowy Konstantemu zapobiedz podziałowi ojczyzny, i że dopiero wówczas, gdy z jednej strony Bułhaków dał odpowiedź odmowną, a z drugiej Targowiczanie dowiedli swem postępowaniem, iż zgubić potrafią ojczyznę, ale jej ocalić nie zdołają, a więc od Grudnia 1792 zaczęli się brać do rozpaczliwych środków ratowania całości i niepodległości kraju. Zgodnie z nimi poczynał robić i Kołłątaj. Dokąd była nadzieja, że szefowie Targowicy weszedlszy w siebie, zaczną naprawdę myśleć o ojczyźnie, ostrzegał o grożącem tejże podziale i szukał sposobów sprowadzenia zgody, aby łącznemi siłami pracować nad jej ocaleniem. Jest rzeczą niewątpliwą, że we wszystkiem działał w porozumieniu z resztą wychodźców, a tem samem nic nie przedsiębrał bez ich wiedzy. Wyjątki te wskazują nam oraz, że ton listów jego nie potrzebował się zmienić po sancitach z 14 Maja i 16 Czerwca 1793 pod względem ducha patryotycznego, skoro i w poprzednich przebija się wszędzie prawdziwa miłość ojczyzny i gotowość służenia jej, chociażby z ofiarą własnej osoby. Mógł się mylić w rachubach politycznych, gdy wraz z innymi mniemał, że Moskwa w utrzymaniu całości Polski własny upatrywać będzie interes. Lecz z tego nie wypływa wcale, że chęć upewnienia sobie korzyści osobistych była dlań podnietą do działania w tym lub owym kierunku. Listy bowiem jego świadczą przeciwnie, że jak z uwagi na zagrożoną całość kraju starał się aż do Grudnia 1793 za pośrednictwem Strassera i innych wpływać na Targowiczan w duchu pojednawczym, aby ich tym sposobem powstrzymać od zapędów zemsty i skłonić do zgodnego z stronnictwem patryotycznem postępowania, tak zaczął wtedy dopiero w innym działać kierunku, gdy upór ich szalony nie dał się przełamać a z drugiej strony odpowiedź Bułhakowa potwierdziła istnienie przymierza prusko-moskiewskiego, którego celem był nowy podział Polski. Trudno zatem pojąć, jak na podstawie tego właśnie zbioru listów śmiał Siemieński obarczyć go zarzutem, że dopiero po 14 Maju i 16 Czerwcu 1793 zaczął je w innym pisać tonie.

XVII.

Równie bezzasadnem jest twierdzenie Siemieńskiego, że po utracie dóbr i urzędu zabrał się Kołłątaj z pilnością do pisania książki o ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 Maja. Książka ta była przecież owocem zbiorowej pracy, a lubo Kołłątaj ułożył plan, według którego miała być napisaną, nie wynika ztąd jeszcze, że tacy współpracownicy jak obaj Potoccy tj. Stanisław i Ignacy, których sam Siemieński zalicza do szczerych i prawdziwych patryotów, dlatego jedynie zabrali się do wydania dzieła tak wielkiej doniosłości, ponieważ Targowiczanie odsądzili Kołłątaja sancitami swymi od dóbr i urzędu. Przypuszczenie podobne ubliżałoby obu tym mężom, gdyż wystawiałoby ich jako proste narzędzia cudzej

woli i cudzego sprytu! Że zaś najzacieklejszy nawet z nieprzyjaciół nie śmiałby ich o coś podobnego pomawiać, trzeba więc innej szukać przyczyny, która ich zniewoliła dopiero w r. 1793 do wydania tej książki. Otóż tę właśnie przyczynę wykazują najlepiej świeżo wydane listy Kołłątaja: Dokąd bowiem wychodźcy mieli nadzieję, że Targowiczanie ze względu na zagrożoną całość ojczyzny podadzą im rękę do zgody, nie chcieli sami wydaniem dzieła tej treści, w którem musieliby potępić ich postępowanie podczas sejmu czteroletniego, utrudniać wzajemnego ku sobie zbliżenia się tego. Gdy jednakże okazało się przy schyłku roku 1792, że dalsze milczenie i bezczynność patryotów żadnej nie przyniosą krajowi korzyści i ułożonemu już nie przeszkodzą podziałowi tegoż, gdy w dodatku Targowiczanie stawszy się ślepem w ręku Moskwy narzędziem, odrzucali uporczywie podawane do ocalenia ojczyzny środki, gdy w końcu i król zawiódł ich oczekiwania, a wzgląd dotychczasowy, by tworzeniem partyi przeciwnej nie podać trzem mocarstwom dogodnego pozoru do nowego rozszarpania kraju, z wkroczeniem wojsk pruskich do województw wielkopolskich odpadł najzupełniej, musieli radzi nieradzi chwytać się najrozpaczliwszych sposobów, jakie ich zdaniem mogły zapobiedz grożącej krajowi katastrofie. Wstępem do działań w tym nowym kierunku miało być wydanie książki wspomnionej, w której zamierzyli opisać cały przebieg czynności sejmu czteroletniego i usiłowania stronnictwa swego dążące do ubezpieczenia całości i niepodległości ojczyzny, tudzież zabiegi strony przeciwnej, będącej na usłudze Moskwy, aby im we wszystkiem przeszkadzać.

(C. d. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Za pierwotny lud Hellady uważają historycy Pelasgów, lecz zkąd się ten lud wziął, co się z nim stało, nie powiada nam historya, nawet odpowiedniego źródłosłowa w języku helleńskim nie ma, zkądby wnosić można, że słowo to jest pochodzenia helleńskiego lub przynajmniej aryjskiego. Najstarsi historycy greccy uważali za fakt myt przez nas powyżej już przetoczony, że ziemia porodziła Pelasgosa, praojca Hellenów. Filologia porównawcza widzi w wyrażeniu Pelasgos, pokrewieństwo językowe z peliszti, pelaszi, t. j. filistyni czyli ludy wędrowne, wypędzone. Z tego też stanowiska wychodząc, należy Karów, Kretów, Pletów i Pelasgów uważać w gruncie rzeczy za jedno i to samo, co wcale dziwić nie powinno, zważywszy, jak np. i do dziś dzień jeszcze ten sam naród Francuzi nazywają Allemanami, Anglicy Germanami, Polacy Niemcami, a on sam Teutonami się nazywa. Tak też i Cornelius Nepos (*Miltiades ep. 2.*), uważał Pelasgów za Karów. Tym sposobem wyjaśnia nam się jedna z najciemniejszych stron starożytnej historyi, widzimy, że Pelasgowie byli ludem Hyksosów wypartych z Egiptu w drugiej połowie drugiego tysiącolecia przed Chrystusem, że oni nasamprzód Kretę i inne wyspy morza egejskiego a następnie półwysep helleński aż po Italię zajęli. Ten sposób widzenia czyni nam zrozumiałem podanie Herodota (*I. 58.*), że Pelasgowie byli ludem barbarzyńskim, mówiącym barbarzyńskim językiem (*I. 57.*); a że ten mniemany język barbarzyński był językiem fenickim, dowiadujemy się z jego resztek pozostałych w imionach własnych: Dodona, Jaoni i innych. Z półwyspu helleńskiego udali się Pelasgowie na półwysep italski, gdzie ich wpływy jeszcze długo uwidaczniały się w państwie etruskiem, którego cywilizacya pod wieloma względami zdradzała pochodzenie egipskie. Następnie gdy Minos z greckich wysp wyparł owe plemiona fenickie, wycofały się takowe na wybrzeże małoazyatyckie, i one to były owymi Filistynami, Pletami, Karami, Kretami, o których stary testament jako o wrogich sąsiadach Hebrejów za czasów Dawida wspomina. Atoli na stałym lądzie helleńskim zlały się z wolna plemiona fenicko-pelasgijskie z helleńskimi w jedno i przyjęły jak n. p. Jończycy i język i obyczaje helleńskie, w skutek czego z wyjątkiem drobnych resztek, o których Herodot (*I. 57.*) wspomina, samoistny naród stanowić raz na zawsze przestały. Gdy bowiem Pelasgowie na stałym lądzie helleńskim osiedli się, już tam znaleźli ludy, które tam przed nimi przyszły, n. p. Lelegów, Kaukonów; te ludy musieli oni zawojować, zarazem jednak, jako wyżsi cywilizacyą obdarowali je takową. Sami Helleni przyznają, że Pelasgowie pierwsi nauczyli ich rzemiosł i zajęć życia więcej ucywilizowanego, żeglugi i górnictwa; legendy o cyklopach, daktylach i telchinach, okazują jak najdokładniej swe pochodzenie z Egiptu. Znawcy zauważyli jeszcze, że tak zwane mury cyklopów, które od najdawniejszych czasów Helleni za dzieła Pelasgów uważali, mają ten sam styl budowniczy co i piramidy egipskie, nawet i pelasgijskie budowle wodne; jak n. p. port w Cyzikos i kanały katabotrami zwane, zdradzają swe pochodzenie egipskie i tym sposobem stanowią jeden z najsilniejszych dowodów, że Pelasgowie, jako nie wątpliwi tych lądowych i wodnych budowli twórcy, są pochodzenia egipskiego. Także i styl dorycki Hellenów w gruncie rzeczy jest tylko naśladowaniem budowli Egipcyan, a i pismo staro-helleńskie zostało do Hellady przez Fenicyan wprowadzonem, sami już helleńscy historycy twierdzą, że Pelasgowie je wprowadzili, a w odczytanych przez Rötha (*l. c. t. II. str. 11.*) cypryjskich napisach i monetach znachodzimy poparcie tego staro-helleńskiego podania, napisy te bowiem stoją w pośrodku między zwyczajnem pismem helleńskiem a hieroglifami egipskimi. Z tego wszystkiego można śmiało wnosić, że Pelasgowie, których historycy helleńscy za plemię samorodne uważają, są pochodzenia egipskiego, fenicko-egipskiego, i że aczkolwiek nie mogli oni swego języka narzucić podbitym ludom helleńskim, byli bowiem w bezstosunkowej mniejszości, to jednak narzucając im swą cywilizacyę, byli w zanadto wielkiej ilości, ażeby można przypuścić, że byli tylko fenicko-egipskimi kolonistami. Że zaś Helleni Pelasgom zawdzięczają całą swą cywilizacyę początkową, to okoliczność ta każe wnosić, że Pelasgowie byli ludem więcej cywilizowanym niż pierwotne ludy helleńskie, a wspomnione powyżej dane historyczne dowodzą, że byli oni ludem filistyńskim, który pod Hyksosami Egiptem władał.

Ten fakt historyczny tłumaczy nam dwa wielkie zjawiska, które na dzieje Hellady nowe rzucają światło, raz, że religia i filozofia Helleńska oparte są na kosmo-

gonii Egipskiej, a powtóre, że filozofia helleńska Talesa i jego następców, nie jest oryginalnym płodem tych myślicieli, lecz tylko badaniem, rozpatrywaniem, krytyką, komentarzem kosmogonii Egipskiej. W religii helleńskiej dopatrzeć się można trzech pierwiastków: jeden staro-aryjski, który przechował bóstwa aryjskie, wspólne Medo-persom i Indom, jak n. p. Zeus'a, drugi filistyńsko-egipski przyniesiony przez Pelasgów, tak np. grecki Amaon jest egipskim Ammonem, grecka Athena egipską Neith, grecki Pan jest egipskim Phanem, grecki Okeanos egipskim Okham, grecki Nereus egipskim Nahar — a wreszcie trzeci pierwiastek wyrósł bezpośrednio z ducha helleńskiego, lecz odnosi się on przeważnie tylko do podrzędniejszych postaci i mniej ważnych tradycyi helleńskiej mytologii.

Nie jest to bynajmniej nowoczesnym wynalazkiem, że religia helleńska jest pod bardzo wieloma względami podobną do religii egipskiej, zauważało już to zjawisko wielu z myślicieli helleńskich jak Herodot, Plato i inni, a tylko jak słusznie Röth (*l. c. t. I. str. 330.*) powiada, nowsi filologowie, dla których świat starożytny rzymski i grecki jedynie i wyłącznie warty jest studyów i zastanowień, lekceważąc sobie barbarzyński świat starożytny, tem samem też nie znając zabytków jego przeszłości, popadli w tę jednostronną ograniczoność, uważania Greków za naród, który wszystkie skarby swej umysłowości sam z siebie wysnuł i prócz siebie żadnemu z innych barbarzyńskich narodów nic a nic nie zawdzięcza.

Historya podaje nam dowody nie tylko na to, że cywilizacya pierwotna dostała się do Hellady z Egiptu, lecz zarazem poucza nas, że niedostała się ona z Egiptu bezpośrednio do Hellady, może przez wychodźców egipskich jak Danausa, Kadmusa lub innych, lecz tylko za pośrednictwem Fenicyan-Filistynów czyli Pletów, Kretów, Karów, Pelasgów, albowiem pierwotna religia helleńska mieści w sobie z religii egipskiej to tylko, co także i u Fenicyan znachodzimy, czego u Fenicyan nie można się dopatrzeć tego i pierwotna religia Hellenów nie mieściła w sobie, n. p. nauki o wędrówce dusz, którę dopiero Pytagoras z Egiptu do Hellady wprowadził; nadto sami Helleni wywodzili od Fenicyan wiele z swoich kultów, n. p. kult Heraklesa (po fenicku Harklesa) w Tasos, kult Kabirów w Samotrake.

Jak to w historyi dosyć często napotykamy, Pelasgowie zawładnąwszy pierwotnymi ludami helleńskimi, nie byli jednak w stanie właściwości tych ludów całkiem przełamać; podobnie jak z Memfis a następnie i z Delty wypartymi zostali przez króli staro-egipskiego rodu, tak i z łona staro-helleńskich ludów wyszli bohaterowie, którzy ów żywioł cudzoziemski Pelasgów z ojczystej swej ziemi wyparli, a takimi byli Minos z Krety, Teseus, Herakles i inni, których bojom z obcym żywiołem dziecięca wyobraźnia starych Hellenów cudotwórcze kształty nadała, resztki zaś Pelasgów pozostałe w Grecyi zgreczyły się z czasem zupełnie i przestały stanowić samoistną całość.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

El-y. **Poezye** 2 tomy. Kraków 1872, nakładem Nowoleckiego.

Rozmarzyli poeci naród... i dlatego dzisiaj mało kto coś czyta, a poezye uważane są jako prosta zabawka dla próżniaków. Więc takie miałyby być skutki romarzenia przez poetów? wstręt do poezyi? to nieprawda, to być nie może; inne muszą być przyczyny, jeżeli są takie skutki; bo i na to nie ma jeszcze dowodu. Nikt nie zaprzeczy, że ogromny, bezpośredni wpływ wywarli nasi potężni mistrze słowa na życie narodu — poezya w Polsce stała się tem, czem była w Grecyi za Tyrteusza, Solona, Pindara... Ale ideałom poezyi, to jest ideałom narodowym, jeszcze społeczeństwo nie sprostało. Po kilku olimpiadach, króre się zawsze kończyły wulkanicznem zniszczeniem, zdrętwiało społeczeństwo, zaledwo dziś wyciąga ręce za kawałkiem codziennego chleba — umysły i serca nie są jeszcze zdolne ocknąć się do nowego życia, rozdmuchać ogień z popiołów, a oczy nasze osłabione minionymi blaskami, zaledwo śmią wpatrywać się w wielkie dzieje upadków i tryumfów, które nam malarze odtwarzają. Jest chwila odrętwienia, apatyi w człowieku, w społeczeństwie — jak w całej naturze. Ale powalone od burzy kwiaty powstają; gdzie grad sprawił pustkę, nowa dźwiga się zieloność i chłonie w siebie słońce, którego naturze nigdy nie zabraknie.

Dla ludzkości słońcem są ideały, prawdy, o które walczy—tych słońc nie brakuje jej; więc na pokosach mijających pokoleń rosną nowe, i wzbiera im pierś ideałami.

Bajka to, że czas obecny innym jest w tej mierze, że na poezyę nie ma między nami miejsca. Jak to? czyliż wszystko dobro i piękno już się wcieliło? czyliż nie ma brudów które trzeba wyprać; czyliż nie ma nędzy i niewoli, które trzeba wyzwolić; czyliż nie ma hańby, którę trzeba odrobić? Czyliż młodość i wiosna już się nie pojawiają, a z niemi bole, smutki, rozkosze i wiekuiste tęsknoty? Czyliż ludzie stali się aniołami i posiedli niebo — więc skończona ich historya? albo też zeszli między zwierzęta, a raczej między kamienie, którymi rządzi już tylko bezwiedna siła ciężkości? A my, my, czyliż odzyskaliśmy ojczyznę?...

Goni świat za zyskiem, za mamoną, usiłuje osiodłać wszelkie potęgi natury, jeździć na ognistym rumaku, coraz nowe wydobywać skarby — więc za to okrzyczanym jest materyalnym. Tak, zagrzął on w materyę, i robi w niej coraz nowe koryta, bo mu ciasno, nie dobrze, bo nie ma chwili spoczynku, lecz budzą go zgryzoty i jęki, groźby i narzekania bo słyszy zewsząd wołania: światła, rosy, chleba. Więc te gonitwy i zapasy, to nie jest zbydlęcenie ludzkości — to ten sam wieczny bój, który się począł pod drzewem wiadomości złego i dobrego; inne tylko są jego kształty. Dziś zbiorowiska ludzkie są Prometeuszami i Herkulesami, chociaż prawa i moce każdej duszy pozostały te same co dawniej. Im cięższe są dzisiaj te boje, im straszliwsze tryumfy z tego, tem większej pomocy i pociechy potrzeba. Jak natura, tak i społeczeństwo ludzkie w każdej chorobie, same sobie muszą pomódz, jeżeli mają ozdrowieć. Co jeszcze jest w nich żywotnej siły trzeba wydobyć na jaw, niechaj ją orzeźwi i umocni dobroczynne działanie promieni słońca, niechaj doda nowej potęgi sprężynom życia. Więc nie ma tak jałowej doby w życiu narodu, żeby twórcze siły jego, chociażby się we wszystkich kierunkach po omacku rozpraszały, nie były zdolne wydać z pośród siebie tych, którzy zapalają słońca, którzy roztaczają skrzydła prawdy i ideałów, pod które każde serce przytulić się może.

Więc kiedy widzę arcydzieła mistrzów pędzla, kiedy widzę jak naród lgnie do ich ideałów, nie wierzę żeby mógł równocześnie zobojętnieć dla poezyi słońca, żeby mógł oniemieć. Poczekajcie, zwolna osiadają męty na dnie, a wypływa na wierzch wszystko, co światła potrzebuje. Różne są głosy i potrzeby duszy; obok dramatu

Matejki jest miejsce na sielanki Kotsisa, obok oratoryum nie przepada dumka; nie skończyło się odkrywanie nowych planet w systemie wszechświata; któż wie zkąd i kiedy wypłyną nowe zdroje żywej wody? Więc i o poezyi wyrokować nie można, pragnijcie, a będzie wam dano.

Nie zawiedzie nikogo ten wstęp, bo zapowiedziałem u góry, że mam przed sobą dwa tomy poezyj El·y Adama Asnyka. Rzadki to dzisiaj gość, a trwożliwy, toż trzeba było uprzedzić go o dobrem przyjęciu, tem bardziej, że on sam nieraz waha się i pyta wieku i ludzkości czy pragnie ideałów, sam nieraz zdaje się wątpić i kruszyć pióro — lecz na to tylko, aby własna jego poezya zadała kłam potwarzom rzucanym na nasze czasy. Napróżno żali się poeta na powszechność, na steranie się ideałów, bo on sam jeżli je zna, to nie zkądinąd, tylko z pnia, z którego idzie, z narodu, z społeczeństwa, z jego dziejów, przeszłości i dążeń, które ukształtowały jego duszę. One to wlały w nią ten niepokój, te zwątpienia i zachwyty, tę młodość wrażliwą, która sprawia, że poezye, które nam daje odczuwamy właśnie jako nasze, że odnajdujemy w nich siebie, a to jest zarazem kryteryum do rozpoznania prawdziwej ich wartości.

Poeta jest dzieckiem epoki, która w r. 1863 znalazła swój zenit, a odtąd błąka się szukając nowych dróg na którychby przecież te same co dawniej świeciły słońca. Duch tej epoki wieje przez wszystkie karty tych poezyi, obok wiecznie świeżych dziejów serca i duszy. Dla bliższego rozpoznania przejdźmy po krótce główniejsze momenta, na których osnutą jest tkanka poetyczna w tych dwóch tomach.

Sen grobów, jest to poemat mistyczny; jak dantejskie kręgi przesuwają się w nim idee; boleści i zawody z najbliższej przeszłości narodu — przesuwają się ale i gubią, tak że wśród wytwornych strof, trudno odszukać głównej myśli — zamglewa się umysł czytelnika — na szczegółach można spocząć, ale z całości trudno sobie zdać sprawę. Początek ten zajmuje głównie formą wykończoną. I drugi utwór: Odpoczywa jest mistycznie ubarwiony, ale niemniej cała kompozycya jest jasną. Poeta jakby zazdrościł powstańcowi, który padł wśród lasu — i gdyby się przebudził nie chciałby już żyć więcej, woli rozpłynąć się w naturze:

Serca jego już nie nęka
Echo ziemskich burz
I nie zbudzi go jutrzenka,
On spoczywa już.

Od tych dziejów zwraca się poeta do zakończonych światów harmonii greckiej i w refleksyach nad odłomkiem Psyche Praksitelesa rozpamiętuje — znowu dzieje ofiar i ideałów. I znowu w inne światy się zwraca — Asceta, Julian Apostata — w światy mistycznych zachwytów duszy, gdzie walczą z sobą pokusy, gdzie wstają zwątpienia w sprawiedliwość Boga... bo oto ginie lud, który się Bogu ofiarował. Potem jak dzwonek odzywa się głos serca, Legenda pierwszej miłości — cudny obrazek zaprawiony bolesnym dowcipem — płocha dziewczyna, którę poeta idealizował, ubierając ją w własną prostotę. W Płaczącej wierzbie znowu rozmyślania nad zarazami trującemi naród. Następuje wiązanka nazwana Kwiaty: niezabudka, powieść o zdradzie i niewierze; pierwiosnki, które tak prędko więdną jak młodość i dziewczyna; gałązka jaśminu, atmosfera rozkoszy — którę poeta mąci „bo go duchy wzywają w żałobie“, bo słyszy okrzyk z krwawego zagonu; bławatek, prześliczny swojski obrazek; stokrótki służące do zgadywania tajemnic, tęsknota za złudzeniem, upojeniem, bez którego serce „z ideałów blade maski zdziera“; wreszcie róże, porównanie ich z dziewczyną, ale jakie! zdawałoby się, że to już motyw zużyty, banalny, ale przeczytajcie, a zobaczycie, że to nowe, świeże.

(Dok. n.)

SAME PŁOTKI.

III.

W ostatnim mym liście, wspominałem Paniom nawiasem, o „emigrantach“, których straszna powódź obecnie na naszą biedną Galicyę się wylała; była to wszakże wzmianka tylko; kiedyś, zapewne, poczuję się w obowiązku daleko szerzej rozpisać w tym przedmiocie. Dziś, o innej pladze na nieszczęśliwy kraj nasz przez zagniewane dopuszczonej nieba pomówić pragnę; a mianowicie, o szarańczy nihilistów, pozytywistów, socyalistów, materyalistów i innego rodzaju zbrodniarzy na istów, co na niwy nasze spadła...

Wczoraj właśnie, z jednym z tych istów miałem spotkanie w jezuickim ogrodzie. Na jednej z oddalonych ławeczek jednego z najpuściejszych kątów publicznej przechadzki, siedział, w dziwnie obszarpanej odzieży, z twarzą nabrzękłą, ustami okrytemi pianą i głową rozpaczliwie spuszczoną, starzec jakiś, lat około 50iu liczyć mogący, i głupio, bezmyślnie wpatrywać się zdawał w nagi i żadnego do obserwacyi nie przedstawiający przedmiot, u stóp jego rozpostarty piasek chodnika... Cała postać tego człowieka wstręt i obrzydliwość wzbudzała; chciałem minąć jak najprędzej; lecz mój ista, z którym szedłem, ujrzawszy nieznajomego, zatrzymał się, stanął, popatrzył, pokiwał głową, — później, sięgnąwszy do kieszeni — wydobył kilka sztuczek monety i dał ubogiemu.

— Po co pan zachęcasz pijaków? -- rzekłem mu, z oburzeniem. Podobnie nierozsądnego kroku mógłbym był się spodziewać jeszcze po sentymentalnym jakim bigocie, który daje jałmużnę w nadziei, że mu ją „Pan Bóg policzy“ i lepsze, za to, miejsce da w niebie; ale pan, który wyśmiewasz wszelką uczuciowość, który tylko w zdrowie i siły wierzysz, zkądże cię napadają takie fantazye u braci szpitalnych ledwo zrozumiałe?

Ista, z początku, słuchał mowy mojej spopojnie, później, podniósłszy z wolna głowę, tak straszne wypatrzył na mnie oczy, żem się o mało nie przestraszył na prawdę, i tonem rzeczywistego gniewu zawołał na mnie:

— Więc pan, pan, który się mienisz chrześcyaninem i człowiekiem pobożnym, sentymentalizmem i chorobliwą uczuciowością nazywasz uczynek, z mej strony, który tylko dowodzi, żem sam nędzarz i gorzej niż że-

brak, iż nic więcej dla tego człowieka uczynić nie mogę?!...

— Ależ to nie człowiek — przerwałem — to pijak, rozpustnik jakiś, prawie że bydlę, tak dalece złe namiętności, którym się poddał, zatarły na nim piętno człowieczeństwa!...

— Więc to nie człowiek? — wykrzyknął znowu ista — więc to pijak, rozpustnik — powiadasz pan — bydlę!... A któż go takim uczynił, jeśli nie wy, jeśli nie to społeczeństwo, którego pan bronisz, a które samo gorszem jest od bydlęcia, bo jest zbrodniarzem, iż nieszczęść takich staje się powodem!...

— Ależ panie — przerywam raz jeszcze — społeczeństwo hultajowi temu nie kazało być pijakiem, ani rozpustnikiem, ani łotrem może....

— Tak! — odrzekł ironicznie... Społeczeństwo wasze nie kazało mu być pijakiem, rozpustnikiem, łotrem, ale owszem, kazało mu być świętym, bohaterem, wzorem poświęcenia i cnoty... bo wiem, że na przykazaniach społeczeństwu waszemu nie zbywa... Lecz cóż ono zrobiło, dla uczynienia go takim, jakim go istotnie mieć chciało? Czy nie popchnęło go może samo na drogę tej zbrodni, za którę go dzisiaj tak surowo karze i tak bezwstydnie nim pogardza!... Bo przecież pan nie przypuszczasz, żeby ludzie rodzili się pijakami, zbrodniarzami, łotrami?... Gdybyś tak sądził, byłbyś fatalistą, czem nawet ja nie jestem, ja, którego pan materyalistą nazywasz, dla tego, ze niechcę się wędzić bezmyślnie w mdłych dymach ideałów...

Tu mię mój p. ista dyabelnie zagadnął... Fatalistą — pomyślałem sobie — w istocie, jako chrześcyanin nie mam prawa być; nie Turkiem-ci ja, przecież, żadnym, ani niewiernym Indyaninem... Ale, z drugiej strony, przypomniałem sobie historyę o grzechu pierworodnym i napomknąłem mu o niej...

— Więc pan wierzysz w to — odpowiedział — że ludzie rodzą się źli, zepsuci; temci lepiej, to woda na mój młyn... Jeśli ludzie rodzą się zepsuci i źli, na co, chwilowo, dla uczynienia panu przyjemności, zezwalam — jakkolwiek rzecz za fałszywą mam z gruntu — jeśli ludzie rodzą się zepsuci i źli, a dobrymi być powinni i społeczeństwo chce, żeby byli dobrymi, temci bardziej, powtarzam, dbać ono powinno o to, aby zepsutych od pieluch, od pieluch też naprawiać i cnotliwymi czynić... Czy pan mi zaręczysz za to, że dla tego, ot tu, człowieka, społeczeństwo kiedykolwiekbądź uczyniło cokolwiek, by go wyrwać z toni złego, w którę go, zdaniem pańskiem, fatalność od kolebki rzuciła?.., Czy wiesz pan, gdzie on się rodził i kto go pierwszy w rece ujął, gdy go matka na świat wydała?... Matka jego może nędzniejszą jeszcze była, aniżeli on sam jest dzisiaj; może była pijaczką, tułaczką, nieszczęśliwą istotą; może nędza była jego pierwszą przewodniczką, a pokusa głodu, nauczycielką pierwszą? Może mu nikt nigdy słowa nie powiedział prawdy, a przechodzień, w rynsztoku leżącego kopał nogą, obelżywem łając słowem!... Może go do pierwszej zbrodni zmusiła prosta niewiadomość złego lub absolutna niemożność wyjścia inaczej z położenia, w jakiem się znajdował, bo nikt nigdy pomocnej doń wyciągnąć nie raczył ręki?...

— Przecież — przerwałem — jest u kolebki chrzest św., są kazania, nauki moralne po kościołach i opieka duchowieństwa nad biednymi!...

— A po szynkach, kwitną szkoły rozpusty!... Czy widziałeś pan kiedy księdza dzisiejszego, żeby podwinąwszy sutannę, narażając się na wyśmianie, obelgi, a nawet może i na pobicie, znalazł się w szynku, z zamiarem wyciągnięcia ztamtąd i wyprowadzenia za rękę biednej jakiej, młodej ofiary nędzy i rozpusty?... Przyznam się panu, że ja często włóczyłem się po szynkach, spędziłem tam wiele chwil mego żywota (wytrzeszczyłem na mówiącego wielkie oczy!..), i to, w rozmaitych krajach; spotykałem tam pastorów protestanckich, kwakrów, illuminatów mormońskich i takich, jak ja, materyalistów... ale katolickiego księdza nie spotkałem żadnego... Księża dziś waszego kościoła prawią, po miastach, wymuskane dla pań, albo niedorzeczne i rubaszne dla tego motlochu, co jeszcze do kościoła chodzi, kazania; rozprawiają o religii przy arystokratycznych herbatkach.. Do szynku, wszakże, żaden z nich nie pójdzie... zawalałby tam rękawiczki i mógłby się narazić na policzek, a rassa braci zakonnych, co nadstawiali twarz „dla Chrystusa“, już zaginęła... ze świecą ich nie znajdziesz... A zresztą, co może, dzisiaj, dobroczynność kościoła, chociażby i posiadał jeszcze, w swem łonie, ludzi poświęcenia i wiary?... Czemże są fundusze, na dobroczynne przeznaczone cele, którymi on rozporządza, w porównaniu do potrzeb dzisiejszych?!... Zarzucisz mi, że go odarła rewolucya, i że ztąd, wszystko złe pochodzi... Przeczę temu najformalniej.. Rewolucya odarła Kościół, bo Kościoł przestał odpowiadać potrzebom czasu i przeznaczeniu swemu... Gdyby inaczej było, Kościoł byłby znalazł dość siły, by się oprzeć Rewolucyi, tak jak się, przez wieków blisko dwadzieścia, opierał tysiącznym herezyom, z których niejedna (jak Aryanizm n. p.) o wiele niebezpieczniejsze dlań, a nawet niebezpieczne dla ludzkości, cywilizacyi i postępu, miała zasady i liczniejszych od razu zwolenników... milionowemi od razu (zawsze jak Aryanizm) rozporządzała armiami... Kościoł wtedy zwyciężył, bo był siłą i potrzebą ludzkości; upada dziś, rozsypuje się w ruiny, bo przestał być ludzkości dobrodziejem i zaszczytem...

— Czemże pan chcesz zastąpić — zawołałem, zgorszony i w najwyższem oburzeniu — ten kościoł nasz, o którym śmiesz twierdzić, że upada, a który upaść nie może, albowiem napisano o nim, że jest wiecznym i że nie przemogą przeciw niemu bramy piekła?... Pan chyba szatana jesteś jednym z najbardziej szatańskich organów!... To rzekłszy, chciałem odejść, pełniąc przepis, również w piśmie św. zawarty: Z nieczystymi do rady zasiadać nie będziesz... Lecz mój p. ista, zamiast się rozgniewać i obrazić (dokąd to bezczelność tych ludzi dochodzi!...), rozśmiał mi się w oczy i prawie gwałtem zapytał:

— Nie sierdź się pan tak bardzo — rzekł mi ze spokojem (czy słyszycie? żebym się nie sierdził, słysząc takie herezye!... — Ah! to koniec świata!... pomyślałem sobie). Nie sierdź się pan — powtórzył — znasz przysłowie: *Tu te faches, donc tu as tort.* (Słyszycie! słyszycie!!!). Nie sierdź się, a raczej, nie odchoźmy od kwestyi...

I usiedliśmy na ławce...

— Mówiliśmy przed chwilą — ciągnął dalej, z największym spokojem, mój przeklęty ista (otożem się dostał w kliszcze!... A niechże go!... Do tej pory zimny pot mię oblewa, gdy pomyślę...); mówiliśmy o dobroczynności kościelnej... Otóż, dobroczynność kościelna jest niewystarczającą i w miarę wzmagających się potrzeb ludzkości, coraz mniej wystarczającą stawać się musi — bo się na żebraninie opiera... Kościoł, by módz przyjść w pomoc żebrakom, sam żebrać musi; i to nie dla tego, że odarty dziś — jak powiadacie — to jego zasada, od wieków... Jakkolwiek Chrystus powiedział: kochaj bliźniego, jak siebie samego! Kościoł prostą miłość bliźniego, (n. p. pielęgnowanie chorych, odwiedzenie więźniów i t. d.) do kategoryi rad ewangieli-

cznych odsunął; cnotą i zasługą nazywa najzwyklejszą jałmużnę, którą każdy z nas zmateryalizowanych (jak powiadacie) daje, ani przypuszczając nawet, że czyni cokolwiekbądź nad obowiązek... Kościół uwielbia, apoteozuje tych co, mając aż do zbytku, okruszynę ze swego spadłą stołu, jak psom, pozwalają podchwycić bliźnim swoim, i nakazuje dla nich, z tego powodu, wdzięczność bez granic, najstraszniejsze z poddaństw moralnych, którego możni nie omieszkają, jak najcyniczniej exploatować... Nie masz łaski, nie masz dobrodziejstwa, nie masz cnoty, ani zasługi w podaniu ręki bliźniemu — przeciwnie jest zbrodnią zostawiać w opuszczeniu tych, którzy, dzięki obecnemu ustrojowi społecznemu, kąta sobie nie mogą znaleźć na ziemi...

— Różyczkę, różyczkę, po jednej różyczce — niech panowie sobie kupią!... Cztery grajcary; trzy grajcary; oddamy za cztery grajcary obie różyczki, bośmy obie jeszcze dziś nie jadły!... Jak Boga kocham, niceśmy nie jadły...

Tak, piskliwymi krzyki, przerwały nam rozmowę dwie obszarpane dziewczynki, o bosych nogach, które co dzień spotkać można we Lwowie, w jezuickim ogrodzie lub u drzwi teatru... Lecz darmo usiłowałem odpędzić je, to laską moją, to nawet nogą, mój pan filantrop na ista, ani chciał słyszeć o tem, tylko jął je rozpytywać:

— Dla czego wy te kwiaty sprzedajecie, co jest prostą żebraniną, zamiast chodzić do szkoły?...

— My! do szkoły?... alboż to nam w szkole jeść dadzą?...

— Ależ rodzice wasi?

— Ojciec nasz umarł, a matka przy krowach u żyda na Zarwanicy; sypia na gnoju, a wieczorem, kradnie cichaczem mleko żydowskie (wydaja powtórnie krowy) i z nami się niem dzieli — jeśli jej przyniesiemy chleba; lecz gdy nic nieużebrawszy, wracamy bez chleba, z próżnemi rękami, to matka nietylko, że nam nie da mleka, ale nas okrutnie bije, bije aż do połamania kości, mówiąc żeśmy ladaco, pijaczki i gorzej jeszcze... oskarżając nas, że z żołnierzami musimy przepijać, co nam panowie dają, „bo przecież — powiada matka — miłosierni ludzie są jeszcze na świecie!“... I tak się, nic nie jadłszy obiedwie przez cały dzień, kładziemy, także na gnoju i jak najdalej od mamy, żeby nas dłużej nie biła, albo też uciekamy od niej na miasto, na całą noc, aż nas policya napotka i da, w więzieniu przynajmniej, przespać do rana... To najrozkoszniejsze noce nasze, bo w stajni od krów, niemiłosiernie gryzie robactwo...

— Gdybyś pan, wyszedłszy w pole, napotkał dwoje chudych, biednych, opuszczonych źrebiąt, albo cieląt, albo inną jaką parę młodych od bydląt domowych i przekonał się w istocie, że nie są niczyją własnością, że zginą bez dalszej opieki — rzekł, zwróciwszy się do mnie, szalony ista — czybyś ich nie wziął do siebie, lub nie poruczył komu?... Prawda, żebyś im zmarnieć nie dał?... Dla czego?... Bo zwierzęta domowe to kapitał; boby ci wychowanie ich przyniosło korzyść, a w końcu zapłatę sowitą za wyłożone trudy... Tych dwoje dziewcząt, które przecież są ludzkiem potomstwem, pan nie bierzesz ani ja nie biorę, bo obaj, zapewne, nie możemy, nie mamy wystarczających na to środków — za siebie przynajmniej ręczę — i mało jest takich osób prywatnych, coby to uczynić mogły... Ależ społeczeństwo!... Dla społeczeństwa istota ludzka to kapitał; dziecię ludzkie to ziarno, które, stosownie pokierowane i rozwinięte, stanie się niewątpliwie dodatnim czynnikiem, a zatem niewątpliwie temuż społeczeństwu przyniesie korzyść, a zaś opuszczone od dzieciństwa i popsute, zażartym społeczeństwa stanie się wrogiem, ciemiężcą, jadem... Czy nie byłoby więc ze strony społeczeństwa prostą rachubą, że już nie mówię obowiązkiem, a tem mniej zasługą lub cnotą: prostym środkiem ostrożności, zabezpieczenia się, brać na swój koszt i wychowanie opuszczone dzieci, których potrzebom właśnie ich rodzice wystarczyć nie mogą?... Do dziś dnia cnotą i zasługą nazywaliśmy wysilenia pojedyńczych osób, które na swój koszt brały sieroty; z ich strony było to rzeczywiście wielką cnotą i wielką zasługą, o ile to czyniły nad siły i możność... Ale czyż społeczeństwo winno spekulować na miękko-serdeczność (że sobie tego neologizmu pozwolę) członków swoich? czy jest to z jego strony uczciwie i czy odpowiada to godności społeczeństwa?... Czyż nie powinienby być fundusz publiczny przeznaczony na wychowanie opuszczonych dzieci, a fundusz zebrany — nie drogą żebraniny, jak to po części dzieje się dzisiaj — ale fundusz istotnie publiczny, bo z podatku płynący?...

Tu już się nie mogłem powstrzymać od śmiechu. Jakto! zawołałem, pan chcesz funduszu publicznego na wychowanie opuszczonych dzieci?!... Ale czyżeś się pan nie zastanowił nad tem, o utopisto! o doktrynerze! że, gdyby się znalazł sejm jaki, coby podobny fundusz uchwalił, wszyscy biedni rodzice zwaliliby naraz wszystkie swe dzieci na kark tego funduszu i co rok trzebaby go zwiększać i nie wystarczyłby nigdy!... Ależ to demoralizacyę byś pan posiał i wykorzenił z gruntu wszystkie związki rodzinne!... Korzystaj pan z doświadczenia istniejących towarzystw dobroczynności, które, im więcej mają funduszów, tem mniej nastarczyć mogą...

— Wykorzeniłbym z gruntu wszystkie związki rodzinne, wywrócił całą moralność! powiadasz pan — odrzekł mi niezmięszany niczem mój doktryner, którego od tej pory doprawdy że mam ochotę Bezczelnickim nazywać... Ah! ładna wasza moralność dzisiejsza i ładne wasze związki rodzinne!... najlepszy masz pan dowód, chociażby na matce tych dwojga dziewcząt, które tylko co z nami mówiły... A wiesz pan równie jak i ja, że matka taka niejedna, że ich sto, że ich tysiąc, że ich więcej niż włosów na głowie!... Pan mi powiesz, że to zbrodniarka, bo wyrazy podobne u was ciągle na ustach i deklamacye a frazeologia to wieczna broń wasza, to maski, któremi gnuśność waszą, niedołęztwo wasze, wasz egoizm, a po prostu głupotę waszą (zaczęło mi być gorąco) przysłaniać usiłujecie... Jeśli prawdą jest, że tu jest z czyjejkolwiekbądź strony zbrodnia, to zbrodniarzem jest jedno tylko społeczeństwo, które matki w podobne stawi położenie, które wymaga od rodziców, aby wychowywali sami dzieci nie zapewniwszy im wprzódy środków po temu!... Powiesz mi pan, że od wieków tak było i że nigdy dotąd nikomu nie przyszło nawet na myśl,, ażeby obowiązek wychowywania dzieci miał mieć kto inny, aniżeli ich właśni rodzice...

— A czyż nie tak jest, w istocie?

— Otóż odpowiem panu, że co było, a nie jest... wiesz pan resztę... Dawniej, nie było państwa, rodzina była wszystkiem, węzłem społecznym, jedyną panią sytuacyi, mogła co chciała, miała wielkie środki rozszerzenia swej potęgi, a raczej, samo państwo nie było niczem innem, jak zrzeszeniem lub też zhierarchizowaniem rodzin; rodzina była państwem w państwie, feodalizm ostatnim wyrazem takiej organizacyi — dawniej jeszcze, w starożytności, był patryarchalizm... Gdziekolwiek wszakże pojawiała się idea państwa, że wspomnę tutaj jedną tylko Lecedemonę, tam już, od pierwszej chwili, państwo zrozumiało, że, absorbując niejako rodzinę na swoją korzyść, zacieśniając jej

samodzielność, a zatem, ograniczając jej środki wzbogacenia się, winno jej wynagrodzenie, winno opiekę nad dziećmi, a szczególniej nad dziećmi, którym rodzina. w żaden sposób, wystarczyć nie może... A nawet i w wiekach średnich, pan, *suzerun*, winien był opiekę i wychowanie dzieciom podupadłego hołdownika... Dziś. państwo nowożytne, w skutek loicznego rzeczy postępu i słusznego rozwoju demokracyi, rozwiązało wszystkie dawne polityczne węzły, a nie stawi natomiast nic... Powiesz pan, że źle jest; ja powiadam. że światu wstecz nie cofniesz, że jest lepiej niż było, pod wieloma, pod wszystkiemi prawie, względami: ale że powinno być jeszcze lepiej, że nowoczesny organizm społeczno-państwowy trzeba dokompletować, i to, nie w tym jedynie punkcie... Co zaś do punktu, o którym mówimy, powiadam, powtarzam i twierdzę, iż dobroczynność tu nie wystarcza, iż wystarczyć nie może; że spuszczać się na nią nie potrzeba; że złą i szkodliwą jest sama w sobie, bo stawi dobroczyńcę nad wspomaganego, bo upokarza, bo upadla... bo, tworząc nierówność społeczną, tworzy nową formę starej jak świat niewoli... Powiadam, że dobroczynność trzeba zastąpić opieką państwową nad nędzą; że nędzę trza leczyć — nie dobrodziejstwami i jałmużną — ale dobrem wychowaniem młodych pokoleń, czujnością nad niemi i oświatą... Co się zaś tyczy rodziny, zanadto wierzę w moc naturalnych węzłów łączących rodziców z dziećmi. żebym mógł przypuścić, iż rodzice moralni (a starać się potrzeba o to, aby jak najwięcej było moralnych) niemoralnym zaś dzieci pozostawić nie można!), koniecznością do tego nie zmuszeni, dobrowolnie wyrzekali się swych dzieci na rzecz państwa... W granicach, w jakich dzisiejszy ustrój społeczny na to pozwala, rodzina się utrzyma — a więcej nad możebność nikt rozsądny żądać nie może. Jedno jeszcze możesz mi pan zarzucić i to będzie zarzut słuszny, przynajmniej w części: Społeczeństwo nasze jeszcze za ubogie, żeby na swój koszt brać mogło wszystkie dzieci nie mające dostatecznej opieki i wychowania w domu!... Prawda! ale dwojaka jest na to odpowiedź: naprzód, państwo ponosi wiele wydatków mniej potrzebnych od tego, którego żądam; powtóre, społeczeństwo powinno się starać o wzmożenie swego bogactwa, i dla togo, wszelkiemi siłami, starać się potrzeba dziś o podniesienie w kraju rolnictwa, przemysłu, handlu, fabryk, banków i kredytu, w ogóle, wszystkich tych gałęzi działalności ludzkiej, przy większym rozwoju których, kraj mógłby wyjść z dotychczasowej swojej nędzy i przyjść, jak najprędzej, do możności zadośćuczynienia swym obowiązkom... Dobra noc panu!...

I pożegnał się mój ista, zostawiając mię w drażliwem nieco położeniu, bo nie znalazłem nic, do odpowiedzenia mu na razie, a i teraz jeszcze, po namyśle — przyznam się z pokorą — nie wiem, doprawdy, cobym mu mógł odpowiedzieć...

Przedstawiłem wam wszakże mego istę i jego waryackie teorye, jakem go i je sam widział — teraz sądźcie..

Po odczytaniu. sądzę, Szanowne Panie, żem traktował tutaj przedmiot zbyt poważny — wbrew przezemnie samego, ostatnim razem, postawionej zasady: *Une femme ne doit jamais être sérieuse...*

Wybaczcie, człowiek jest omylny; na przysłość poprawa!... *)

Arodaz.

---

*) Prosimy, aby dobrze był zrozumiany zamiar nasz w umieszczeniu powyższego artykułu. Jak przeciwni jesteśmy szerzeniu się w naszem społeczeństwie niektórych zasad pozytywizmu francuzkiego, tak chętnie podnosimy jedną ze stron dobrych tego kierunku, sądząc, że z każdej doktryny, choćby fałsz w sobie mieszczącej, należy wybrać i odróżnić to, co ma w sobie zdrowego. Trzeba zaś przyznać, że dopiero pozytywizm powiedział słowo rzeczywiście racyonalne o organizacyi pomocy publicznej dla nędzy, zastępując jałmużnę pracą. (Przyp. Red.)

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

HISTORYA. *Saint-René Taillandier. Serbia w XIX wieku. Dzieje wyzwolenia się Serbii z pod jarzma tureckiego.* Przekład z francuzkiego. Toruń. F. T. Rakowicz 1872. Bardzo ciepły i obrazowy, a zarazem gruntowny obraz dziejów serbskich od czasów najdawniejszych, które znakomity autor francuzki przedstawił w szerokich zarysach, a przeszedłszy raz do czasów nowych, opisał takowe w sposób wyczerpujący, uwzgledniając zarówno historyę dyplomacyi, jak historye faktów. Dziś, kiedy potrzeba bliższego poznajomienia się z pobratymczymi szczepami Słowian, okazała się dla nas tak widoczną, książka ta zyskuje ogromną żywotność.

TEATR. *(Br. Z.)* W Piątek (d. 24 b. m.) przedstawiono na scenie lwowskiej znakomity dramat pani Georges Sand w 4 aktach: „*Margrabia de Villemere.*“ Jeżeli ten utwór ma pewne wady, to płyną one jedynie ztąd, że dramat jest przerobieniem z powieści tejże samej genialnej autorki i przez nią dokonanem. Byłby jednak płaskim zarzut braku akcyi w sztuce... Zapewne nie ma tam wrzawy na scenie, ciągłego wchodzenia i wychodzenia, ale jest tak bogata, tak wnikająco i mistrzowsko roztoczona akcya wewnętrzna, duchowa kilku osób, składających dramat, że słuchacz rozkoszuje się właśnie temi scenami długich i pełnych prostoty dyalogów, w których każde słowo, każde półsłówko jest najwyborniejszym wizerunkiem charakteru. Jest to dramat, przeprowadzający antitezę między prawami serca a bezprawiem społecznych przesądów—arystokratyzmem urodzenia. Odegrany był wzorowo. Pani Aszpergerowa (Margrabina de Villemere) była obrazem w sobie tak pełnym, tak skończonym wyniosłej damy francuzkiej z czasów Ludwika XVIII, tak wdzięcznie łączącym arystokracyę form z dobrocią wrodzoną duszy, że pozyskała dla niej wszelkie sympatye. P. Ładnowski (Margrabia) przemyślał gruntownie swą role i wyrozumiawszy ją w najdelikatniejszych odcieniach, grał ze silnem przejęciem się. P. Królikowski (książe d' Aleria) był parę razy wcale szczęśliwym. Panna Deryng (Karolina) stworzyła postać szlachetną, nacechowaną zarówno wysokiem poczuciem godności, jak prawdą i siłą uczucia, szarpiącego serce a niemego w obec świadków. Grała w niektórych ustępach porywająco—było to dla nas pasmo rzadkich i głębokich wzruszeń, dla nas, którzy za obecnej dyrekcyi przyzwyczajeni jesteśmy widzieć tak często pieszczotliwość zamiast uczucia, a patos zamiast siły tragicznej. Gra panny D. w roli Karoliny jak i wczorajsze ośmiokrotne jej wywołanie za małą rólkę w dramacie Korzeniowskiego: „*Dziewczyna i dama,*“ powinny już wreszcie przekonać raz dyrekcye, że dając pannie D. role naiwne nie umie oceniać kierunku, w jakim najświetniej objawia się jej talent, jak i o tem, że zdrowy smak publiczności dawno już uznał w pannie D. swą najlepszą, najprawdziwszą artystkę. — O tragedyi Weilena: „*Hrabia Horn*“ (przed. d. 28 b. m.) napiszemy za powtórzeniem.

Od redakcyi. Niezwrócenie dzisiejszego numeru Redakcyi uważać będziemy za przedłużenie na bieżący kwartał prenumeraty i w swoim czasie upomnimy się o należytość.

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.